Rok II Warszawa, 21 Stycznia 1922 r. Nr. 3

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

TREŚĆ NUMERU:



Cena 40 mk.

Redakcja i Administracja: Kopernika 23. II piętro.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.
Telefon Nr. 91-76.

„NA MIARĘ KRAWCA“

Główną klęską panującego u nas systemu rządów kliki jest fakt, że przy doborze ludzi na odpowiedzialne stanowiska, nie pytanie „jaki“ ale pytanie „czyj“ to jest człowiek, odgrywa rolę decydującą.

Im mniej jest taki ktoś człowiekiem niezależnym moralnie, im mniej myślącym samodzielnie, im silniej z zamkniętemi oczyma trzyma się takie zero za poły „znaczącego“ stronnictwa, czy „znaczącej“ jednostki, tem świetniejszą ma przed sobą przyszłość, tem pewniejszą karjerę. Jestto wcale sprytna zresztą obustronnie arytmetyka życiowa. Czyż miljon, ów brzęczący czy szeleszczący synonim karjery, nie jest właśnie jednostką z — zerami?

Tam gdzie prawdziwy talent, niezaprzeczony rozum, niewątpliwa zasługa, faktami udowodniona racja polityczna, to wszystko są w oczach przeciwnika politycznego tylko okoliczności... obciążające dla jednostki, która stojąc w obozie przeciwnym, ośmieliła się mieć talent, rozum, zasługę i rację, okoliczności, ściągające na nią tembardziej nieubłaganą nienawiść, tembardziej nieuchronną proskrypcję, — tam gdzie z drugiej strony natomiast jakaś nicość wewnętrzna, nie obciążona żadnym bagażem własnych przekonań, własnych myśli i własnej odpowiedzialności, gdzie taka jednostka o minimalnym ciężarze gatunkowym — jakby na potwierdzenie praw fizyki — leci „w górę“ z szybkością próżnego a rozciętego balonu, — tam oczywiście nie może się dziać dobrze ani na wewnątrz państwa ani w jego polityce zewnętrznej.

Gdy Naczelnik Państwa sposobem w państwach konstytucyjnych niebywałym odmówił podpisu swego na uchwalonej przez Rząd nominacji p. Szebeki, socjalistyczny „Robotnik“ bronił tego postępku, wyrażając zdanie, że Rząd nie powinien był dawać do podpisu nominacji człowieka, który... „nie cieszy się sympatją“ Naczelnika Państwa!

Oto jak wygląda „niezależna“ opinja organu „republikańsko“ — socjalistycznego.

Czyż zdaniem „Robotnika“ mielibyśmy powrócić do epoki, kiedy osobiste względy panującego rozstrzygały o wszelkich wogóle nominacjach, zależnie od tego, czy dany kandydat „cieszył się“ czy „nie cieszył się“ sympatją?

Czy też postępową naszą opinję lewicową pouczać dopiero należy o tem, co gdzieindziej wiadomo jest „najtępszym konserwatystom”, że Naczelnik może wprawdzie służbę domową dobierać sobie wyłącznie na podstawie sympatji, że jednak o doborze służby dla Rzeczypospolitej muszą decydować względy rzeczowe?

Tembardziej, że sympatje osobiste Naczelnika Państwa, które niestety istotnie nadmierną, czasem jedyną, rolę grają we

wszelkich nominacjach i odznaczeniach, naogół lokowane są bardzo nieszczęśliwie.

Parę przykładów.

Niema człowieka, ani po prawicy ani po lewicy naszej politycznej, któryby nie wiedział, że p. Patek w kunszcie dyplomacji okazał się zupełnem zerem.

Wszyscy wiemy, że p. Patek możliwie najfatalniej pod względem politycznym przygotował wyprawę kijowską, że mylił się w przypuszczeniach co do jej losów i co do wartości sojuszu z Petlurą, i że p. Szebeko przeciwnie właśnie w tych sprawach się nie mylił Mimo to, a może właśnie dlatego, p. Szebeko jest w niełasce, a p. Patek jest w łasce. To wystarcza, żeby p. Szebeko—mimo jego niezaprzeczonych talentów—od służby dla państwa usunąć, a żeby p. Patek—którego karjera dyplomatyczna gdzieindziej raz na zawsze byłaby skończona, — u nas najspokojniej nadal zajmował jeden z najważniejszych posterunków polityki zagranicznej.

Wszyscy wiedzą dobrze dalej, że p. Sokolnicki np. jestto człowiek zupełnie mierny pod każdym względem umysł chaotyczny — i niesamodzielny, słaby historyk i żaden wogóle polityk. Ale i on jest w łasce, i dlatego wytrwale acz bezskutecznie dzierży w ręku losy polityki polskiej w Finlandji, skąd w okolicznościach tak bardzo wszak sprzyjających, człowiek odrobinę odeń inteligentniejszy oddawna przywiozły jakąś korzystną umowę z Polską.

Powszechnie wiadomo, że p. Wierusz-Kowalski odegrał haniebnie dyplomatyczną swą rolę przy Watykanie. Wszakże potępiony został jednomyślnie przez wszystkie stronnictwa w Sejmie po znanej odezwie kard. Bertrama. Mimo to i mimo brzydkiej oszczerczej roli, jaką odegrał w procesie arc. Teodorowicza (mimo... czy może właśnie dla tego?...) dostał zaraz drugą dyplomatyczną posadkę w Hadze. Bo p. Kowalski jest w łasce.

Jeszcze jeden przykład, mniej od tamtych znany, ale bodaj więcej charakterystyczny.

Był w Legionach niejaki p. Zygmunt Platowski, człowiek owszem poczciwy, ale zupełnie pospolity i płytki, typowy „pusty balon„, słowem—nic. Otóż ten p. Platowski tylko w drodze jakiegoś fatalnego nieporozumienia, czy raczej, niestety, partyjnego porozumienia właśnie, wyższym został zastępcą Szefa Komisji weryfikacyjnej, i stanął na czele tej istytucji. W tym charakterze i w jej imieniu ofiarował p. Platowski nieistniejący przedtem w Rzeczypospolitej tytuł Marszałka Naczelnika Państwa, który go niewiele myśląc, przyjął, jak przyjmował wszystkie wogóle dotąd przez kogokolwiek ofiarowane mu tytuły i adresy, bardzo uprzejmie i bardzo łaskawie. Jakgdyby chodziło o to, by złośliwy chochlik dziejów naszych, gromadzący materjał dla przyszłego satyryka, mógł mu podszepnąć zdanie o weryfikacjach, rangach i marszałkach, „skrojonych na miarę krawca"...

(p. Platowski ma bowiem ukończoną akademję..., ale nie wojskową, tylko krawiecką).

Otóż ten p. Platowski oczywiście jest w łasce, i posiada nie tylko rangę pułkownika i piękną przeszłość pierwszego werytikatora rang oficerskich (legionowych zwłaszcza!) w Polsce, ale ma też... order „Virtuti militari", a to za... wypędzenie Niemców z Warszawy. Aczkolwiek p. Platowski, jako wierny i konsekwentny aż do końca Wehrmachtowiec, o zamordowanie rodzonego ojca mógłby być posądzany równie niewinnie, jak o wypędzanie Niemców z Warszawy, aczkolwiek pierwszy lepszy andrus z nad Wisły lepiej sobie na ten order zasłużył, niż p. Platowski, ale... nie każdy znowu andrus jest w łasce, a p. Platowski jest w łasce, i koniec.

Jeszcze szczegół chakterystyczny i autentyczny. Niedługo po wejściu Legionów do Warszawy p. Platowski, który także „wszedł" z nimi, znajomym swym na prowincji opowiadał ze wzruszeniem: „Jak oni nas witali! Jak witali!... „Kto was tak witał znowu? — zapytano z niedowierzaniem. — Ludność?"... „Ale co tam ludność! — odparł zniecierpliwiony — nie ludność, ale Niemcy! Niemcy! Niemcy!".

Czyż mógł wtedy powiedzieć, co dziś losy „łaskawe" zrządziły, że otrzyma kiedyś najwyższą dekorację wojenną nie za czułe i wzruszające powitanie z Niemcami, ale za nagłe i niespodziewane (dla niego z pewnością niespodziewane) pożegnianie z nimi?

Pan Platowski sam w sobie to nic, i nie o jego osobę bynajmniej tu chodzi. Ale p. Platowski to symbol. Nieszczęsny symbol Polski współczesnej, z takim ogromnym wysiłkiem krajanej koniecznie... „na miarę krawca...".

Sęp.

POGROBOWIEC ROMANTYZMU POLSKIEGO?

Przekonamy się czy tak.

Ale najpierw nieco cytat z jego drukowanej spuścizny.

„Państwo niemieckie musiało sobie powiedzieć, że dla własnego dobra potrzebuje państwa polskiego. Ale z tą chwilą musi i Polska sobie powiedzieć że pożądany jest jej sojusz z państwem i z narodem niemieckim....".

„Dzięki położeniu geograficznem Niemcy i Polska są skazane na siebie. Początek wieku XIX wykazał tę całą zgubność tej dyplomacji polskiej, która wydawała się sobie bardzo przezorną mówiąc: dobrze jest że książe Józef trzyma z Napoleonem i że równocześnie książe Adam trzyma się Aleksandra! Nie. Przymierze Polski z mocarstwami centralnemi jako członka ich równoprawnego powinno być absolutnie wolne od tendencji ukrytych...

Ale nie będzie Polska w związku tym równouprawnioną jeśli nie zdobędzie się na poważną orężną siłę.

Udowodni mocarstwom centralnym będącym panami sytuacji jaką wartość ma cyfra polska i że cyfrę tę należy powiększyć...

W r. 1831, nie za Sobieskiego na zawsze straciliśmy Kijów. (Sprawa Polska a Niemcy. Wiadomości Polskie r. 1916 Nr. 107 — 108).

„Idea centralnej Europy nie może być urzeczywistniona bez Polski. Państwo polskie jedynie uczynić może z Niemiec największe potęgę moralną świata i przewodnika wszystkich mniejszych narodów, ono może usunąć wieczną groźbę rosyjską i w łonie Rosji i w obrębie Polski oraz niebezpieczeństwo ze strony wszystkich innych mocarstw w razie gdyby sprawa polska wysunęła się z rąk Niemiec i nadal pozostała otwartą: „O wspólną sprawę więc chodzi". Die Zukunft Polens und der Deutsche Ausgleich Berlin 1915).

„Przeszło trzy lata spędziłem w Niemczech (1915 — 1918) dzieliłem niejedną radość i niejedno cierpienie narodu niemieckiego, byłem pełen nadziei w przyszłość mojej własnej ojczyzny. Cały świat wali się w ruiny przed mojemi oczyma, teraz przeżywam najsmutniejsze dni w mojem życiu. Przyczyniłem się do budowania tego świata i jestem zań współodpowiedzialny". (List do Naumana 13 Luty 1918).

Cytat takich i im podobnych możnaby mnożyć w nieskończoność. Jak widzimy z tego człowiek, który to pisał był ważnym czynnikiem politycznym, skoro wyznaje, że sam przyczynił się też do „budowania tego świata", który w Lutym r. 1918 walił się w ruiny i skoro sam przyjmuje za to współodpowiedzialność. Trzy lata wojny europejskiej spędzał w Niemczech, w sercu militaryzmu pangermańskiego w Berlinie „dzieląc niejedną radość i niejedno cierpienie". Radość.. kiedy Pruscy wkradali do Białogrodu, do Bukaresztu do Kijowa, kiedy bombardowali Rheims, kiedy tajemnicze działo waliło na Paryż, kiedy zdobyli Antwerpię zatapiali Lusitanię, rostrzeliwali miss Cavell, palili Kalisz „moskalofilski", wysyłali zaplombowane wagony z bakterjami rozsadzającymi demokratyczną republikę rosyjską.... kiedy otwierała się im perspektywa z Berlina na Bagdad.... na „platz an der Sonne", na „największą potęgę moralną (!!) świata i na „przewodnika (!!) małych (!) narodów".

Dzielił „z Niemcami niejedno cierpienie" gdy sprawa polska wysuwała „się z rąk Niemiec"' gdy jenerała Eichhorna wysadzono w Kijowie w powietrze, gdy Verdun ocalało, gdy szła bitwa nad Marną, gdy Kuck odstępował od Paryża, gdy Ameryka wypowiadała wojnę, gdy Foch wyciągał miecz z pochwy.

Tak czy nie?.

„Żadnych tendencji ukrytych".

Źle jest „że jedni trzymają z Napoleonem" (książę Józef

Askenazego) a książe Adam (Endecja, passywiści, Koło Międzypartyjne, Podolacy, Lwów, Poznań) z Ententą.

Wszyscy powinniśmy iść za przewodem księcia Józefa Askenazego i trzymać z Napoleonem — Hohenzolernm...

Tak czy nie?

Tak pisał i tak agitował przez trzy, cztery lata wojny i przed wojną Wilhelm Feldman tuż przed śmiercią wychrzczony, publicysta radykalny, ku którego pamięci uczczenia wyszła teraz sumptem wdowy w c. k. Krakowie okazała zbiorowa książka.

Coby było dziś z Polską, coby dziś musieli i mogli pisać, czuć, jakie „cierpienia dzielić ze sobą" ci autorowie, którzy dziś swobodnie rozpisali się w monumentum ku czci Feldmana gdyby jego marzenia i plany polityczne ziściły się, gdyby Niemcy dzięki także polskiemu „zdobyciu się na poważną orężną siłę" „absolutnie uwolniwszy się od tendencji ukrytych" stały się „największą potęgą moralną (!) świata", i „przewodnikiem małych narodów"?. W monumentum ku czci Feldmana czytamy nazwiska prof.: Brücknera, Zdziechowskiego, Courtenaya Jaworskiego, Kota, ale czytamy także nazwiska Kasprowicza, Przybyszewskiego, Zamorskiego, Staffa, Roztworowskiego czytamy nazwiska Grabca, Limanowskiego, Chołoniewskiego, Lama, W. Szymanowskiego i t. d. Gdyby się były spełniły marzenia polityczne Feldmana wielu z tych hołdujących jego pamięci byłoby może dziś dygnitarzami w „Marchii Wschodniej" czy w „Nowych Prusach" (Jaworski, Kot) wielu pisywałoby nadal cenzurowane przez Cleinowa ekspektoracje (Courtenay, Zdziechowski, Grabiec), prof. Brückner nadal mieszkałby sobie w Berlinie i wykładał... ale można zaręczyć i można wierzyć i ufać w to, że ten i ów już by siedział w Magdeburgu lub w Spandau, że ani Żeromski ani Limanowski ani Chołoniewski nie tak łatwo byliby się pogodzili z tą nową Centralną Naumanowsko-Feldmanowską Europą i z „moralną potęgą" zwycięskich Niemiec Hindenburga i Ludendorffa.

Co znaczy więc ta książka pamiątkowa wyszła z druku sumptem wdowy, co znaczy współpraca w niej całego szeregu pisarzy i publicystów z obozu narodowego, wrogiego i zwalczającego ideę hegemonji prusactwa w Europie? Czem powodując się dali tam „po sonecie". Kasprowicz i Staff, jakie uczucia powodowały Chołoniewskim i Żeromskim, że zdecydowali się ozdobić swojemi nazwiskami książkę pamiątkową ku czci jednego z najfanatyczniejszych popleczników prusactwa którego dzieła, pisma artykuły zamieszczane nawet w skrajnie pangermanskich pismach (Die Panther) przedrukowywała i cytowała jako głos z „duszy polskiej" cała niemiecka prasa? Czy ci publicyści nie zdają sobie sprawę z tego, że taka księga to dokument polityczny?

Obowiązki, wdzięczności? wdzięczności za „Współczesną literaturę polską" tak? Ależ ten dług wdzięczności można ba nawet trzeba było spłacić gdzieindziej. Hołd dla człowieka

istotnie tytanicznej pracy i istotnie zacnego charakteru? Z tym można było zaczekać jeszcze lat kilka, aż się zatrze pamięć o działaczu politycznym z lat ostatnich, jednym z najszkodliwszych, bo bezwiednem narzędziu często prusackiej polityki i bezwiednem może faktorze mocarstwa anonymowego i międzynarodowego. Że w zbiorowej książce Feldmana wzięli udział p. p.: Żeromski, Kot, Sikorski, Grabiec (autor broszury o sjonizmie niepodległościowym") lub uczone ale tak obłędnie chaotyczne głowy jak Zdziechowski czy Courtenay, że szkic biograficzny napisał dr. Eisenberg to jest wszystko w porządku; byłoby niegodziwem, gdyby choć w ten sposób nie ekspiowali krzywdy, jaka Feldmana istotnie spotkała przez wyobcowanie i spostponowanie go w r. 1919, tj. wtedy, kiedy najrozmaitsze szubrawcy aktywistyczne, płatne ajenty pruskie, pajace wiedeńskie już masowo robiły karjerę, wypływały na powierzchnię bezkarnie i zaczęły rej wodzić po ministerjach, redakcjach, urzędach, ambasadach, w wojsku i w Sejmie.

Ale dlaczego w takiej księdze pamiątkowej zamiast Sieroszewskiego, Struga, Daniłowskiego, Sokolnickiego, Dąbskiego, Wieniawy, dr. Marka, Żuławskiego, Kisielewskiego, Hołówki, Rzymowskiego, i t. p. dali się chytrze wciągnąć Kasprowicz, Żeromski, Staff, Roztworowski, Chołoniewski, wytłomaczyć sobie należy chyba tylko kompletnym brakiem orjentowania się w politycznej sytuacji Polski, w obecnej fazie hegemonji duchowej, żydostwa w Polsce, w przebiegu historycznym wojny europejskiej, w niebezpieczeństwie zewnętrznem i wewnętrznem, jakie nam groziło i grozi, oraz w zakulisowych tajnikach organizacji N. K. N., Krakowskiego.

Pani Ida Wieniewska w swoim zamieszczonym w Kurjerze Lwowskim sentymentalnie entuzjastycznym referacie o książce pamiątkowej pt: Pogrobowiec romantyzmu (?) politycznego (?) gdzie pisze że: „Zyciorys Wilhelma Feldmana możnaby włączyć w „Zywoty sławnych mężów“, tuż obok Arystydesa i na tej biografii uczyć młodzież żarliwej miłości ojczyzny, bezprzykładnej ofiarności i nieznużonej pracy“, przypomina także, że w książce na zakończenie jej dano także „odmowną odpowiedź generałgubernatorstwa warszawskiego na żądanie zwrotu odebranego paszportu Warszawa — Berlin“. Ma to być glejt i testimonium polskości bez zarzutu i dowód jego „niebłagonadzieżnosti" w oczach Beselera. To jest nic. To jest błahostka. Zakazywano czasem przyjazdu do Warszawy najbardziej patryotycznymi niemieckim dziennikarzom i posłom z Reichstagu i na odwrót dawano pozwolenia nawet na wyjazd do Szwajcarji podejrzanym o passywizm, ba nawet notorycznym passywistom. Szykanowano czasem bardzo zaawansowanych aktywistów; nietylko jeden p. Rzyniowski był odwieziony do obozu koncentracyjnego. W Warszawie zakazaną była czas jakiś np. książka drugiego Wilhelma Feldmana p. t.: „Mit der Heeresgruppe des Prinzen

Leopold von Bayern“ München 1916, także izreality działającego publicystycznie w Warszawie wtedy, kiedy nasz Feldman wydawał „Polen” w Berlinie. Odmowa gurbernatora Beselera, a raczej jakiegoś urzędniczka więc okkupacyjnego tak ostentacyjnie zamieszczona na effektowne zakończenie książki nie dowodzi niczego, a raczej dowodzi tylko sprytu w aranzowaniu tej książki.

Stanowczo zaś trzeba tu zaprotestować przeciw zamieszczonemu we „Wspomnieniu o Wyspiańskim" zdaniu Stefana Żeromskiego brzmiącem:

„Dziś niema już Stanisława Wyspiańskiego i niema Wilhelma Feldmana”...

Zestawienie na jednym poziomie tych dwóch nazwisk jest wysoce niemiłym dysonansem, wynikłym zapewne także z tego że znakomitemu autorowi „Ludzi Bezdomnych“ nie jest dokładnie znany właściwy dystans w tem ustosunkowaniu, w którem Feldman żarliwie st rał się być Eckermanem. Goethego famulusem-Wagnerem Fausta, czasami nawet w swych zresztą szczerych uczuciach aż natrętnym.

Forytując zbyt takich famulusów i dając się wciągać w takie „Księgi zbiorowe” pomagamy wszyscy walnie w stabilizowaniu germanofilskiej Judeo-Polski i w supremacji duchowej inteligencji semickiej i zsemityzowanej. Powstają wówczas książki, w których korowód pisarzów zaczyna jakiś dr. Eisenberg a kończą... Kasprowicz, Żeromski!

Zaciera wtedy ręce niejeden Zygmunt August czy Stanisław August Mortkowicz, Maecenas sztuki i literatury naszej epoki...

Ale jak ta kultura polska będzie wyglądała za lat 25, groza pomyśleć...

Adolf Nowaczyński.

CHRZEŚCJANIE W SYNAGOGAGH.

Dzieją się rzeczy na świecie, o których nie śniło się żadnym filozofom.

Frankfurter Zeitung pisze:

„Ciche szczególne święto, obchodowe wprawdzie nie z powodu narodzenia Jezusa, ale które owiewał wzniosły i święty duch zwiastowania pokoju na ziemi odprawili członkowie gminy ewangelickiego Congregation Churek i żydowskiego Temple Emanu-el — w bóżnicy. Było to jesienne święto dziękczynne, które połączyło żydow i chrześcian do wspólnego nabożeństwa i z synagogi uczyniło swiątynię tolerancji i pokoju. Dostojnie odprawił liturgię i kazanie pastor. A gdy rabin pobłogosławił w bóżnicy unosiła się cicha pieśń aniołów ... i t. d.“.

Ponieważ działo się to w r. 1911 w San-Francisco, a więc już w sześć lat poźniej „cicha pieśń aniołów“ zrodziła Bron-

szteina-Trockiego i wspaniały pokój i tolerancje bolszewizmu. Według podręcznika szkolnego (Hecht. Historja Izraela) „Faryzeusze co do zasad byli najszlachetnieszymi przedstawicielami i zachowawcami judaizmu". Prędkie perspektywy, nieprawdaż.

Zestawmy dwa fakty ewangelickie:

„Missje" (1920 Nr. 22) piszą: „Przejmuje nas gorzki ból na widok tego nieszczęśliwego narodu (żydów), wypędzonego, prześladowanego. Nigdy żydzi nam nie szkodzili ...".

I głos Marcina Lutra 1543 r. w piśmie: „O żydach i ich kłamstwach".

„Nigdy pod słońcem nie było narodu krwi żądniejszego i mściwego, niż ci którym się zdaje, że są narodem od Boga wybranym, aby obowiązani byli i musieli mordować i dusić pogan. Najznakomitszą rzeczą, jakiej spodziewają się od swego Messjasza jest to, że powinien swym mieczem wymordować i zatracić cały świat. Żyd to jest serce żydowskie jest drewno-kamienno-stalowo-djabelsko twarde, niczem niewzruszalne.—Gdy przyjdzie Messjasz ma on zabrać całemu światu złoto i srebro i powiedzą może rozdzielić".

„A wy, moi kochani panowie i przyjacie, pastorzy i kaznodzieje, przypominam wam wierność obowiązków, abyście bronili parafjan, jak to czynić umiecie od zguby wiecznej—aby strzegli się żydów i unikali ich o ile mogą".

Ewangelicy contra Lutrowi. Pastorzy w synagogach. Uczciwym ewangelikom włosy powstają na głowie.

Katolicyzm, przyznają to samoż ewangelicy, lepiej broni się przeciwko żydom, aczkolwiek prądy żydowskie podziemne w postaci różnych „modernizmów" przenikają tu i owdzie. Z drugiej strony, jeżeli dotkniemy naszych stosunków, próby sekt, np. niefortunnych marjawitów, dzisiejsze galicyjskie „nowe kościoły" przemycane pod hasłem „emancypacji narodowej", są aż nadto wystarczającymi dowodami rozkładowej akcji żydowskiej.

Dla katolicyzmu najniebezpieczniejszy jest zbyt gorliwy prozelityzm w kierunku nauczania i chrzczenia żydów. Słynny Chaim-Bückeburg znany pod przybranem nazwiskiem poety Henryka Hainego powiada „możecie żyda chrzcić nawet co szabas, woda prędko wysycha".

Wszelka wspólnota musi zakończyć się zwycięstwem żyda. Bo szanse są nierówne przy działaniu wspólnem. Człowiek bez rumieńca, bez możliwości wyrzutów sumienia, człowiek „nagi" bez wstydu ma z góry zapewnioną przewagę w walce o byt. Społeczeństwa aryjsko-chrześcjańskie muszą się od żydów izolować, aby istnieć w stanie kultury i wolności duchowej. Innej rady nie ma.

Sposób przeprowadzenia tej izolacji jest najważniejszą ze spraw, jest sprawą spraw współczesnej ludzkości. Programy są biegunowo przeciwne. Żydzi dążą do zlania się (pozornie), do wspólnoty, my do odrębności uspołecznionej do domu dezynfekowanego to jest bez żydów.

I. O. Grabowski.

MIGAWKI

MINISTERSTWO ZDROWIA, SZCZĘŚCIA I POMYŚLNOŚCI DLA CHOROB EPIDEMICZNYCH.

Jest jeden minister, wytrwale tkwiący na swoim fotelu z małą tylko przerwą od lat zdaje się czterech. Zowie się dr. Chodźko. Wypłynął na widownię jeszcze za Prusaków oczywiście na aktywizmie i obrotny, zabiegliwy, sprytny, pracowity, umiejący sobie radzić z prasą.

Ile razy zawisa miecz Damoklesa nad tem ministerstwem, które w gruncie rzeczy jest zgoła zbytecznym luksusem, obciążającym budżet, kwalifikującym się wyłącznie na departament w M. S. Wew., tyle razy doktór minister porusza wszelkie klawisze w prasie białe czarne i czerwone i pisma stają w obronie luksusa, dowodząc konieczności istnienia tego *Iucsus a non lucendes*.

Doktór Chodźko, przed wojną skromny i potulny człowieczyna obecnie matador, który niejednego ministra już przetrzymał i przetrwał, wiedzie sobie żywot dygnitarski, raz po razu wyjeżdża za granicę na rozmaite kongresy a Grecja płaci. Normalnie zasypuje prasę komunikatami o swojej działalności a to że zwiedza szpitale i baraki że reorganizuje Ciechocinek a to dla repatrjantów, a to że odbywa ważne konferencje, a to że zakłada instytut epidemjologiczny.

Ma to wywoływać wrażenie i wywołuje, że bez ministerstwa zdrowia i wzędobylskiego dr. Chodźki Polska by w kilka miesięcy cała zapadła na podagrę i nieżyd kiszek, a stan sanitarny w państwie byłby niżej krytyki.

Tymczasem „kiedy przyszło co do czego" okazało się, że jest dużo bluffu i blagi w tym dużo hałasu swoją osóbką wyczyniającym ministrem Chodźką. Polskie miejscowości kąpielowe i kuracyjne nigdy za ruskich i austryackich czasów nie były tak brudne, niechlujne i zapuszczone jak za rządów kadzącego prasie ministra Eskulapa. To samo da się powiedzieć o szpitalach i klinikach. Doktór Chodźko rozjeżdża się samochodami, alarmuje o swoich przyjazdach, łasy na wszelkie parady z wielką pompą obnosi swą figurkę z grubą ministerjalną teką ale w szpitalach brud, nieporządek a w Polsce zaczyna się szerzyć dur plamisty w zastraszający sposób. Dochodzi w samej stolicy, gdzie rezyduje ten wielki człowiek do małych interesów do takich skandali jak ten który ostatnio opisują pisma „W nocy w areszcie jednego komisarjatów wśród 22 aresztowanych znalazł się człowiek chory na tyfus. Inspektor policji telefonuje do szpitala św. Stanisława, gdzie przedewszystkiem na dzwonienie do dyżurnego lekarza nikt się nie odzywa, zaś portjer oświadcza że szpital przyjąć chorego nie może. Po pewnym czasie odezwał się lekarz i wyjaśnił, że szpital sam nie zabiera chorych, lecz

chorego musi tam dostarczyć dom izolacyjny, ewentualnie niech chorego odwiezie policja dorożką (chorego zakaźnie!). Ale cóż? Karetka dla chorych funkcjonuje tylko do 12 ej w nocy! Dorożką, rzecz prosta, wozić chorego zakaźnie niepodobna! Słowem chory, w gorączce pozostał wśród innych aresztowanych do następnego dnia".

I to się zdarza pod noskiem ministra zdrowia, a co się dzieje w barakach dla repartjantów, w szpitalach w Równem, w Baranowiczach? A co się dzieje na prowincji, w małych miastach na kresach? Pokątny doktorek z przed wojny nadyma się, ministruje od rana do późnej nocy ale tymczasem stan sanitarny nawet w stolicy jest coraz gorszy. Należałoby aby pan minister Michalski zainteresował się też i tym swoim groteskowym koleżką z gabinetu, i skierował tą kosztowną zabawkę i odesłał doktora Chodźkę na normalną praktykę do jakiegoś szpitala na prowincję.

Już dość tej parady. Tyfus plamisty grasuje bezkarnie, minister doktorek wypisuje tylko o sobie reklamy bez końca a Grecja płaci i płaci.

Eskulap.

LICHWA SJONU.

O 40% i innych procentach.

Temat do komedji: wzbogacony na krzywdzie ludzkiej lichwiarz staje się „profesorem moralności". Wykłada swoim ofiarom zasady równości i sprawiedliwości. Teza jest taka: Wy macie mało pieniędzy, więc wam się nie wiele należy; ja „dorobiłem się" (tu się nie dodaje: na was), więc dla mnie powinno stać wszystko otworem; co wasze — to moje. Oto równość i sprawiedliwość.

Taki jest obraz *„moral in semity"*;

Przy każdej sposobności Izrael się pyszni, że ma w Warszawie 40% ludności, a więc należy mu się tyleż wszystkiego; że wykupuje dużo patentów handlowych a więc „wzbogaca" skarb Państwa, które tedy powinno dogadzać przedewszystkiem takiemu płatnikowi.

Przezornie *nie* dodaje: że Warszawa, która miała względnie niedawno jeszcze bardzo mały odsetek żydów, „dorobiła" się ich tylu, wskutek długiej niewoli polskiej, sprzyjającej plenności chwastów na ziemi użyźnionej krwią i mieniem gospodarzy prawowitych; że dalej patenty handlowe przynoszą Państwu ochłap z tłustego połcia handlu żydowskiego, wysysającego soki żywotne ludu polskiego.

Niedopuszczanie Polaków do handlu; zajmowanie placówek im przynależnych; rugowanie rzemieślników polskich z dawnych

ich warsztatów; mnożenie się nadmierne kosztem nędzy niepozwalającej na to samo Polakom,— wszystko to żydzi poczytują sobie za zasługę, za którą jeszcze każą sobie płacić.

Jeżeli lichwiarz moralizujący gnębione ofiary za to, że nie dopłacają mu procentu za pobieranie procentów, stanowi temat do komedji,—to lichwa Sjonu postępująca w ten sposób z Polską, staje się dla niej tragedją.

Dzieje rzemiosła w Polsce wskazują, że wojny rujnowały przedewszystkiem rzemieślików polskich, których miejsce stopniowo zajmowali żydzi.

Przed wojnami szwedzkiemi miasta polskie stały niemal u szczytu rozwoju; rzemiosła były w rozkwicie, cechów mnóstwo, rzemieślnikami byli Polacy. Żydzi nie grali w rzemieślnictwie absolutnie żadnej roli, już to z powodu małej ich liczby w Polsce wogóle, już dlatego, że w wielu miastach nie wolno było osiedlać się żydom.

Przyszły wojny szwedzkie, zrujnowały miasta polskie, młodzież chrześcijańska ginęła na polu bitwy, uratowała Polskę. Ale korzyści z tego ciągnęli przeważnie żydzi, zdrowi i cali, bo nieuczestniczący w bojach.

Miejsce rzemieślników - polaków zajmowali potem kolejno żydzi w miasteczkach, które oni wreszcie nazwali „żydowskiemi".

To samo powtarzało się następnie w czasie wojen o niepodległość Polski; w czasie powstań przeciwrosyjskich. Ginęli różni drobni Kilińscy po miasteczkach, wielu poszło na tułaczkę, do tajg rosyjskich; wielu emigrowało na zachód. A ich miejsce zajęli „neutralni".

I tak ciągnie się nieprzerwanie. Historja się powtarza.

Przyszła wojna powszechna, Polska dożyła wskrzeszenia. Ale kosztem krwi polskiej, krwi legjonów Wschodu i zachodu, legjonów naogół „asemickich", zwłaszcza śród poległych i rannych.

Polska wreszcie odparła straszniejszy od szwedzkiedo najazd hord Lejbów Trockich. Ale znowu kosztem najlepszych Polaków, którzy ochotnie krew przelewali za Ojczyznę.

We wszystkich tych bojach krwawych żyd był rzadkim gościem. A teraz chce być głównym spadkobiercą bohaterów polskich.

Źle mówię: chce. Przeważnie już się stał takim dziedzicem, jak się nim stawał po wojnach ze Szwecją i walkach z Rosją w ubiegłym wieku.

Przybyło mu dużo warsztatów, dużo sklepów, dużo miljonerów; objął wiele stanowisk, o których nie mógł marzyć za czasów rosyjskich.

A gdy „utył Jeszurum (Izrael), to wierzgnął", jak już napisano w Biblji; wierzgnął Polskę, denuncjując ją przed innemi rządami, „odrywając" od niej Wilno, Lwów; neutralnie z niemiecka zachowując się wobec Śląska.

I teraz imponuje swojemi „procentami“ lichwą zdobytemi. Siedzi na ofierze i ogryza ją, a krzyczy, że nie leży spokojnie, nie daje mu trawić siebie.

Pomysł to konkursowy. godny talmudu: nie kara za licbwę, lecz nagroda — brzmi hasło.

Jerzy O.

„PIAST“ ŁOWICKI.

Pierwszym nieledwie okrzykiem, którym niemowlę polityczne — państwo Polskie w 1919 dało znak swego życia, było „pracą z intelektem.... nie trza go, co surdutowiec to „pan“, więc wróg ludu, choćby mu łokcie świeciły i palce wyłaziły z butów...“

Od tej chwili miała Polska istnieć wyłącznie dla chłopa i przez niego, gdyż on ją wraz z robotnikiem bez niczyjej pomocy zbudują. Więc „pracą z intelektem!“.

I wdarł się motłoch do przybytku narodowego, by w imię egoizmu klasowego przybranego odświętnic w siwą sukmanę Piasta, pędzić pracą wszystko, co tchnęło nauką i kulturą!

Wdarł się zaś z takim impetem, że zaimponował nawet najwyżej stojącym jednostkom, które uwierzyły w suwerenność analfabetyzmu.

Na terenie wsi działały od lat t. zw. „wolnościowych“ t. j. 1905—06, kółka Rolnicze, zrzeszone w Centr. Towarzystwie Rólniczem, w których rolę przewodników ideowych, pionierów postępu, nietylko wszelkich gałęzi rolnictwa, lecz wprost już kultury wsi — odegrywali inteligenci wiejscy! Bez żadnych widoków osobistych, w myśl jedynie wskazań historycznych omisji ziemianina od wsi, pchał znaczny zastęp inteligencji przed wojną i w czasie jej trwania w pracę kółkową cały swój rozmach społeczny, środki materjalne, dochodząc często do przesady w oddaniu się pracy nad ludem. O wynikach jej świadczą wymownie sprawozdania instytucji oświatowych, a także nienawiść, jaką na siebie ściągnęło ziemiaństwo za tę pracę ze strony tych jednostek, co w walce klas widzieli trampolinę dla swojej karjery.

Podczas likwidacji żagadnień wielkiej wojny, przyszła dla tych ludzi wymarzona chwila: z pianą na ustach, w uniesieniu semicko-mongolskiem wtargnęli hurmem do polskiej wsi..... i próżno głos rozsądku wołał, że obietnica „ziemli i woli“, niesiona w obłąkanym spazmie przez historyków ideowych i karjerowiczów jest tylko fata morgana!

Jak dzieci, co się po raz pierwszy dorwały zapałek i idą pod strzechę sąsiedzką próbować nowej zabawy, tak podpalili z czterech rogów teren pracy społecznej na wsi.

W okresie tym widzieliśmy malarzy pokojowych idących śladem Chrobrego, pokątnych doradców na stanowiskach minist-

rów, agitatorów kumunistycznych na wysokich urzędach, notorycznych spekulantów, stojących na czele poważnych instytucji finansowo-społecznych.

Była chwila, gdy się słabsi wśród nas zachwieli w wierze w Genjusz Polski — sądząc, że w XX wieku miara krawca równa będzie mierze Fidjasza.

Lecz powoli wiatr się zmienił i lecą liście z drzewa, a z nimi i z gniłe owoce! Co tylko robak zeżarł, to upada na ziemię i jeno patrzeć jak na drzewie wolności pozostanic to tylko, co zdrowe.

Z prowincji nadchodzą wieści o sprawkach różnych Bardlów i Gagatków, Białystok huczy od sprawy Dojlid, a z bliższych stolic ludowych, pasko-piastowych ma Łowicz swoją Panamę Jarosową.

Mąż zaufania P. S. L. prezes Okręgowego Związku kółek Rolniczych, kierownik Stowarzyszenia-Handlowego, do niedawna zastępca wciąż zmieniających się starostów, rządził samowładnie p. Antoni Jaros, wspierając się jak na dwóch karjatydach, na posłach Kurczaku i Wróblu.

W skład korony łowickiej, co mu błyszczało nad czołem, przybyły z czasem dwie kamienice, jak dwa drogocenne djamenty, wprawione na pamiątkę znojnej i owocnej pracy dla ludu.

Jedynie z władzami sądowemi nie miał p. Jaros szczęścia. Jnż w 1919 na rozkaz ich, dokonała policja u niego rewizji w związku z aferą skórną kolegi i przyjaciela jego, p. Jana Urbanka z Bęchenia. Widać jednak, że udział Jarosa nie musiał być znaczny, kiedy się na śledstwie skończyło, podczas gdy Urbanek aż rok więzienia otrzymał.

Od tego czasu na dowód, że zwyciężona przeciwność jest pognojem dla dalszej pomyślności, sterował p. Jaros z niezachwianym tupetem Stow. Roln. Handlowem, kupował kamienice, przyjmował pieniądze na kupno lasów w „Guatemali”, brał w dzierżawę jeziora, kupował partje siana, ale wszystkich tych tranzakcji prócz „Guatemali” i deficytów dokonywał na własny rachunek.

A gwiazda świeciła mu nieodłącznie, prowadząc do przybytku gdzie były wół i osioł, i stada baranów i kadzidło ze złotem, ale nie Święta Rodzina.

Niedawno poczuł p. Jaros u ramion swych nowe skrzydła, i zadał sobie pytanie dlaczego by nie miał zasiąść wraz z innymi w przyszłym sejmie prawodawczym przy ul. Wiejskiej?.

Więc widzimy go, jak z nieodłącznym kurczakiem urządza wyprawy przedwyborcze w lipnowsko-rypińskie końmi rządowymi, czy też furką żydowską (różnie o tem mówią) i aż za modrą Wisłę niesie sławę swojego imienia.

I oto w chwili, gdy owinięty w togę rozgłosu, kroczył, otoczony licznemi rzeszami, trafił go, jak Juljusza Cezara, cios z ręki najbliższej. Oto okazała się na łamach Łowiczanina i Ga-

zety Porannej krótka notatka podpisana przez samych witeziów tej treści:

Ogłoszenie. Niniejszym podajemy do ogólnej wiadomości, że dotychczasowy kierownik Stowarzyszenia Rolniczo-Handlowego w Łowiczu, p. Antoni Jaros, z d. 17 b. m. został zwolniony z zajmowanego przezeń stanowiska. Wszelkie umowy zawarte przez A. Jarosa bez podpisu conajmniej 3 członków Zarządu, w tej liczbie prezesa, podług statutu § 38, uważamy za nieważne.

Zarząd Stowarzyszenia Roln.-Handlowego w Łowiczu.

Prezes: Fr. Wojda. Członkowie J. Kret, M. Kaźmierski i T. Kurczak.

Z okrzykiem: „I ty Brutusie!" skonał w opinji publicznej p. Jaros, a razem z nim skonała na księstwie Łowickiem legenda o Piaście, budowniczym Polski!.

Zabezpieczył podobno Jaros w obawie przed skandalem, na swoich kamienicach aż cztery i pół miljona marek, których się zarząd widać nie mógł dorachować, ale czego już nie zabezpieczy ani sobie, ani swoim bliskim, to szacunku i wiary ludzkiej Teraz ilekroć przywódcy ludowców będą głosili hasła walki z ziemiaństwem, argumenty ich nie trafią do przekonania uczciwym żywiołom chłopskim i zwrócą się przeciwko nim samym, echem czynów spełnionych przez ich politycznych przyjaciół, powrócą jako zwrotka znanej piosenki „pije Bardel do Janesa..."

Dzięki nim popeptana prawda doczekała się zadość uczynienia z rąk swych własnych oprawców—poniewierców intelektu, którzy wobec zaciemnienia się horyzontu, drżenia posad państwowych w dziecinno-szaleńczych experymentach naszych suwerennych analfabetów, jak żołnierz u stóp Kalwarji zawołać musieli „Zaprawdę, że bez intelektu nie zbudujemy Polski".

Tak jak „der brawe Michel" przekonał się w bolesny sposób, że Wiluś nie był jego przyjacielem, tak i włoscianin polski po niewczasie zobaczył, że dziewica, co go wabiła na manowce, jest chochołem, a światła t. zw. postępu, któremi go oślepiono, — były błędnymi ognikami.

Na własnej skórze się przekonał że w zapamiętaniu klasowem chciał zarznąć kurę złotonośną i że choć sznur w garści jeszcze trzyma, lecz, „róg buka po lesie".

Czas najwyższy nawrócić na dawną drogę współpracy, zwrócić się ku odtrąconej inteligencji wiejskiej, która dla dobra sprawy narodowej, niezawodnie zapomnie własnych krzywd i do pracy społecznej wśród ludu powróci.

Antoni Trzywdar.

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk** Prenumerata kwartalnie **mk. 480**, półrocznie **960**, rocznie **1920**. Zagranicą **2880**.
Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie **mk. 130**, na przedostatniej **100 mk.**, na ostatniej **110 mk** (3 szpalty).
Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska" Warszawa, Szpitalna 12